

Był w Ostrowi amatorski teatr, a będzie amatorska opera, ostatnia droga dr. Tchórznickiego,
kłątwa rzucona na widzów w Pęczratce, straszliwy mord niedaleko Śniadowa i
rychły wyrok w tej sprawie

Wstępem, przypisami i ilustracjami opatrzył Jerzy Madzelan.

Ilustracja wyróżniająca opracowanie:

Dwóch żandarmów z Komorowa uwiecznionych na fotografii wykonanej przed sierpniem 1915 r.,
w Atelier Fotografii Artystycznej Josela Rudego, przy ul. Głównej w Ostrowi.

Źródło *hisdoc.ru*.

Dr Jan Harusewicz, częsty bohater naszych opowieści, postać historyczna wielce zasłużona nie tylko dla regionu, ale i kraju, zauważył absencję korespondencyjną pewnego mieszkańca Ostrowi. Tenże obywatel zamieszczał na łamach przeróżnych periodyków swoje listy, felietony podpisane imieniem i nazwiskiem – najprawdopodobniej fikcyjnym – Jerzy Polanicz. Doceniając twórczość tego jegomościa, który zdaniem doktora pisał o „wielu rzeczach potrzebnych, a nawet i mniej potrzebnych, lub niepotrzebnych wcale”, postanowił pana Polanicza zastąpić i osobiście informować czytelników gazet o najważniejszych wydarzeniach na ziemi ostrowskiej, a przede wszystkim w samej Ostrowi. Przekazywane wieści są przeciętnie optymistyczne – społeczne inicjatywy upadają lub wegetują, jedna zaś ulega przekształceniu.

Na naszych łamach zamieściliśmy kilka artykułów autorstwa dr. Józefa Tchórznickiego. Z jego licznych prac wybieraliśmy te, które przynajmniej pośrednio były związane z naszym regionem. Po dziesięciu latach praktykowania w odległych rejonach Imperium Rosyjskiego – pracował m.in. jako lekarz wojskowy w Tbilisi, Władykaukazie i Nalczyku – w roku 1884 powrócił do kraju, by w swych rodzinnych stronach objąć stanowisko ordynatora szpitala św. Pawła i Piotra w Sterdyni. Po dziesięciu latach przeniósł się do Warszawy, gdzie bodaj jego najistotniejszym dziełem był Warszawski Instytut Szczepienia Ospy. Podczas rewolucji 1905 r. to dzięki jego staraniom otwarto kuchnie dla najbiedniejszych mieszkańców stolicy Królestwa Polskiego. Przyjaźnił się z Bolesławem Prusem, któremu przekazał do recenzji rękopis *Trędowatej*, dzieła swej bratanicy Heleny Mniszkówny, co niezwykle pomogło pisarce w debiucie. Dzisiaj towarzyszymy doktorowi w jego ostatniej drodze. Doktor Tchórznicki i jego słynna bratanica, pochowani się w Zembrowie w gminie Sabnie. Autor relacji z pogrzebu doktora podpisał się inicjałami „H. M.”. Czyżby tym autorem była Helena Mniszkówna?

Dzięki inicjatywie koła Związku Młodzieży Wiejskiej miały miejsce w Pęczratce inscenizacje dwóch sztuk teatralnych. Na aktywność lewicującego Związku i owoce jego działalności z niechęcią patrzyło duchowieństwo, zatem ewentualnym widzom ksiądz tamtejszej parafii zagroził kłątwą. Mimo to spektakle przyciągnęły tłumy, o czym z nieukrywaną satysfakcją donosi „Przegląd Łomżyński”, pismo z chęcią wchodzące w polemikę z klerem.

Koło Śniadowa doszło do przerażającego morderstwa – bandyta, chcąc się pozbyć konkurencji do schedy po ojcu, zatłukł siekierą trójkę rodzeństwa. Wyrok zapadł już po kilku miesiącach.

Redakcja otrzymała list z zapytaniem, czy może zamieszczać na swych łamach więcej fotografii kolorowych, bo te czarno-białe nudzą czytelnika, traci przez nie humor i tak zresztą kiepski na ogół. Dział kontaktów z czytelnikami przekazał korespondencję redaktorowi naczelnemu, a ten odpowiedział, że za fotografiami kolorowymi nie przepada, a to dlatego, że gdy był dzieckiem, to świat był czarno-biały, więc ten akurat zestaw dobrze mu się kojarzy. W tamtych czasach pół Polski ubierało się w ciuchy przysłane z Ameryki, ale że nawet najbardziej ekstrawaganccy eleganci, nie chcieli paradować odziani w pstrokate, kraciaste marynarki, to cudem zdobyte odzienie zaraz oddawano do farbiarni. Naczelny pamięta jeden z takich zakładów, który egzystował w Warszawie w podwórzu przy ul. Chmielnej (wówczas Rutkowskiego). Jak łatwo się domyślić, prawie wszyscy chcieli mieć ubranie ufarbowane na kolor czarny i tylko jacyś zmanierowani dziwacy wybierali granatowy lub ciemnozielony.

Naczelny twierdzi, choć to trudne do uwierzenia, że nawet telewizory były wówczas czarno-białe – znaczy się, to co było na ekranie, bo obudowy były jeszcze szare, bure i brązowe. Właśnie telewizor ma być przyczyną, dla której naczelny zniechęcił się do kolorów. Będąc pacholęciem, usłyszał, że pan Majewski, dżentelmen zamieszkały w Broku we wciąż istniejącym domu, który łatwo ujrzeć, stając naprzeciwko pomnika marszałka Józefa Piłsudskiego, dysponuje cudem techniki zwanym telewizorem kolorowym. Cud ten działać miał na pięterku rzeczonoego budynku. Naczelny nie mógł się doczekać ujżenia świata w techno-kolorze, a tymczasem, to co ujrzał, pozostawiło w jego umyśle niezatarty do dzisiaj wstręt do kolorów. Kolorowy cud polegał na ustawieniu przed ekranem barwionej szybki – z tego, co naczelny pamięta niebieskiej u góry, żółtej pośrodku, a zielonej na dole... a może na odwrót? W każdym razie efekt był tak rozczarowujący, że naczelny na samą myśl o kolorach popada w melancholię. Później jego niechęć do wielobarwnego świata spotęgował jeszcze wybuch telewizora zagranicznej marki Rubin.

Sumując – tak czy siak, to nie ma szans na zmianę polityki ilustracyjnej redakcji. To chyba dobrze, bo przekonanie, że ludzie lubią mieć wybór – w tym przypadku fotki czarno-białe *versus* kolorowe – redakcja uważa za całkowicie błędne. Brak wyboru bardzo ułatwia życie. Każdy to wie, kto choć raz stał w kolejce w aptece. Gdyby był jeden proszek od bólu głowy, to kolejka posuwałaby się szybko, a tak to ludziska wybrzydząją, szukają dziury w całym, a pani farmaceutka jeszcze podgrzewa atmosferę, udzielając niepotrzebnych rad, bo przecież i tak każdy kupi to, co zarekomendowała sąsiadka.

Otrzymaliśmy jeszcze jeden list, a mianowicie od bardzo poczytnej redakcji, która obserwując wzrastające słupki naszej popularności, doradza nam, abyśmy nie zyskali sławy większej ponad powiatową. Skutkiem przeróżnych nieprzemysłanych działań, owa redakcja zyskała poczytność ogólnokrajową, a tym samym jest zapraszana na imprezy o randze większej niż lokalna. Ostatnio, miała nieprzyjemność, brać udział w uroczystości salonowej o randze niemal państwowej. Zaprzyjaźniona (od tygodnia) redakcja nie ma niczego pomniejszonego, powiększonego, przedłużonego, naciągniętego lub wygładzonego, w związku z powyższym czuła się niezręcznie w towarzystwie osób, które podobne zabiegi uważają za swój życiowy priorytet. W dodatku nie ma najmniejszego zamiaru dać się wcisnąć w niezwykle dopasowany uniform, w którym można wyłącznie naśladować ruchy kiepskiej jakości robota. Nie ma także zamiaru farbować owłosienia na bijące w oczy kolory, a oczu chronić z pomocą okularów o oprawkach tak subtelnym, jak te Eltona Johna.

Dziękujemy za tę niezwykle cenną radę, a wręcz ostrzeżenie. Nadal będziemy się starać, aby krąg, a raczej prostokąt naszych zainteresowań nie wykraczał poza granice zakreślone w ramach długości geograficznej rzekami Liwcem, Nurcem i Cetynią, jeśli zaś o szerokość chodzi, to miejscowościami: Wąsewem i Czyżewem na północy oraz Stoczkiem i Miedzną na południu. Możliwe jest oczywiście wyjście poza tak nakreślony czworokąt, ale będzie ono miało charakter wyłącznie epizodyczny.



Szybka koloryzująca obraz do czarno-białego odbiornika telewizyjnego.

Źródło: *forum-trioda.pl*.

[„Echa Płockie i Łomżyńskie”, nr 31 z 19 kwietnia 1899 r.]

KORESPONDENCJE

Ostrów, gub. łomżyńska.

Ponieważ stały, jak się wydawało korespondent „Ech” z tutejszej okolicy, podpisujący się pseudonimem „Jerzy Polanicz”, pisząc w ubiegłym roku o wielu rzeczach potrzebnych, a nawet i mniej potrzebnych, lub niepotrzebnych wcale, słówkiem prawie nie wspomniał o istniejących w Ostrowiu instytucjach dobra ogólnego, dających bądź co bądź pojęcie, chociaż niezupełne, o szerszym życiu tutejszym, obecnie zaś tenże korespondent od jakiegoś czasu umilkł, uważam za obywatelski obowiązek dopełnić przesyłane stąd wiadomości niektórymi danymi z naszego życia społecznego.

Na początku r. z. przestała istnieć w Ostrowiu reśursa¹, nie doczekawszy jubileuszowego roku, którym miał być następny, pomimo że „na papierze” liczyła blisko 58 członków, mających płacić po 10 rubli rocznej składki. Prezesem z urzędu był naczelnik powiatu, a gospodarzem z wyborów miejscowy naczelnik straży ziemskiej², radcami zaś (podług normalnej ustawy 8 członków rady): sędzia pokoju, komisarz włościański, pułkownik artylerii i czterech lekarzy. Dość ciekawą i pouczającą jest statystyka członków pogrzebanej reśursy: urzędników 26, wojskowych 18, wolnych profesji (lekarze, aptekarze, adwokaci) 10, obywateli ziemskich 4. W tym Rosjan 27 i Polaków 31. Doprawdy, nie zdarzyło mi się spotkać wśród swoich znajomych osoby, która by wyrażała szczerzy żal lub nawet udany (przede mną) z powodu likwidacji miejsca przeznaczonego na zabawę, a będącego nie raz powodem i miejscem różnych nieporozumień różnego charakteru. Ale rzućmy na to osłonę, gdy życie już ją rzuciło! Niechże spoczywa w spokoju!

Drugą, młodszą o lat kilka od poprzedniej instytucji (1881 r.) i już bezspornie mającą tylko ogólne dobro na celu, jest straż ogniowa ochotnicza, której naczelnikiem (z wyborów zeszłorocznych) jest Ludwik Witkowski, sekretarz hipoteczny. Pomocnikiem Jan Zakrzewski, geometra powiatowy. Członkami zaś rady: ks. prałat Jarnutowski, Szablowski sędzia śledczy, Wąsowski i Damięcki urzędnicy powiatu, Nowca właściciel apteki i niżej podpisany. Członków czynnych jest blisko 150, głównie ze sfer miejscowych mieszczan i rzemieślników (Żydów zaledwie kilku), honorowych zaś około 40, przeważnie właściciele domów, bardzo leniwie opłacających 3 ruble rocznej składki. W kasie stale prawie pustki, posiedzenia rady odbywają się niesłychanie rzadko i trudne są do zwołania. Sikawki i beczki wraz z szopą strażacką stanowią własność miasta. Bluzy, czapki, kaski, pasy, topory, kagańce, wóz rekwizytowy, zapasowe kiszki do sikawek itp. należą do straży ogniowej ochotniczej i są kupione wyłącznie z jej funduszków. Miasto daje 15 rb. rocznie na utrzymanie w porządku sikawek i... nic więcej. W r. b. kupiono nową dobrą sikawkę w Warszawie (za 500 z górą rubli).

Z osobistego doświadczenia przekonany jestem, że można by straż ogniową ochotniczą doprowadzić do możliwej sprawności, ale do tego potrzebna jest choćby jedna osoba, która by nieledwie całkowicie oddała się rzeczonyj instytucji, inaczej zawsze będzie iść mniej lub bardziej kulawo. Dodajmy do tego, że obrót kasy nie przenosi [przekracza] 100 rubli rocznie – cóż z taką sumą można zrobić?

Dawniej grywano u nas teatry amatorskie i straż nasza otrzymała z tego tytułu około 500 rubli, ogółem podczas swego kilkunastoletniego istnienia. Od czasu jednak jak z Ostrowia przed paru laty wyjechał M. Mazurowski, komornik sądowy, który był duszą kółka amatorskiego i sam nieźle grywał, rozprzęgło się ono i dzisiaj muszę o tym mówić stylem historycznym. Scena nasza niewielka, wszystkie teatralne rekwizyty, biblioteczka, ławki z ruchomymi siedzeniami, na co tylko w ciągu ostatniego ośmioletnia (dawniejszych cyfr nie posiadamy) do 1895 r. wydatkowano 850 rubli. To pamiątka pierwsza oprócz duchowej, bośmy widzieli na scenie: Bałuckiego, Fredrę, Korzeniowskiego, Blizińskiego, Anczyca, Dobrzańskiego, Jordana, Przybylskiego i wielu, wielu innych, których byśmy nie oglądali inaczej, bo nie wszystkich nas stać na wyjazdy do Warszawy do teatru.

¹ Stowarzyszenie mające na celu zabawę i lokal takiego stowarzyszenia, def., [za:] Słownik języka polskiego, t. 5, Warszawa 1912, s. 520 [przyp. aut. opracowania].

² W roku 1867 zniesiono w powiatach służby policyjne i komendy żandarmerii, a w ich miejsce powołano straż ziemską. Na jednego strażnika przypadało ok. 2,5 tys. mieszkańców gmin wiejskich oraz 1,5 tys. mieszkańców miast (za wyjątkiem Warszawy dysponującej własną formacją policyjną) [przyp. aut. opracowania].

Dalej Tow. dobroczynności, o który będzie mowa niżej, w ciągu lat 4-5 otrzymało prawie 550 rubli z tego samego źródła. Grano także na chwilowe cele, jednorazowego wsparcia potrzebujące, co prawda nie zawsze szczęśliwie wybierane – i na to zebrano z przedstawień 500 rubli. Są to cyfry względnie nawet imponujące! Obecnie zawiązuje się kółko amatorskie rzemieślników miejscowych i odbywa próby ze scen dramatycznych ze śpiewami z uroczej „Halki”, gdyż znalazło się parę wcale ładnych, jakkolwiek nieurobionych głosów. Kierownictwo objął dr Taczanowski, któremu z góry należy się podziękowanie publiczne za podjętą pracę. Ciekawa i pocieszająca rzecz, że inicjatywa wyszła od samych rzemieślników, a mianowicie od mularza P. Niewęgłowskiego, obdarzonego przyjemnym tenorem. On też zgromadził drużynę amatorską. Ma to być przedstawienie po cenach najniższych (od 50 do 15 kopiejek) i tylko 2 pierwsze rzędy po 1 rublu i 75 kopiejkach, i niechybnie należeć będzie do udatniejszych. Odbyło się po Wielkanocnych Świątach 8 i 9 kwietnia. Obowiązkiem wszystkich ludzi dobrej woli jest podtrzymywać organizujące się kółko i w czym można, i należy, ułatwić jego rozwój ku wspólnemu pożytkowi, a tak jest marne życie naszego partykularza [prowincjonalnego miasteczka], że nawet i w tym wypadku nie obeszło się bez niesmacznych anonimów, które jednak doznały zasłużonego losu – nie zwracano na nie uwagi i słusznie.

Wypada mi również wspomnieć o orkiestrze „dziecinnej” i poniekąd nawet z dorosłych złożonej. Myśl i starania podjęli młodzi księża tutejsi, wikariusze Ryglewicz i Majkowski. Myśl to niewątpliwie i zacna, i dobra, a założyciele wspomniani rozwijają pochwałą godną energię w doprowadzeniu do skutku pomyslanej przez siebie, zrzeszonej pracy. Oprócz ofiar, na zakup instrumentów opodatkowane zostały i karty, w które radzi zabawiają się u nas wszyscy z nielicznymi wyjątkami!

A więc jest to demokratyzacja sztuki dramatycznej i muzycznej w szlachetnym celu udostępnienia sfer piękna jak najszerszym masom. Naśladujemy pod tym względem (i pod wieloma innymi) pobratymczych dzielnych Czechów. U nich bowiem można by już pisać historię podobnego kulturalnego ruchu. U nas jest to zaledwie okres „ząbkowania”. (C.d.n.)



Trzech żołdaków z Komorowa na fotografii wykonanej w roku 1910 w Atelier Fotografii Artystycznej Josela Rudego, przy ul. Głównej w Ostrowi. Źródło *hisdoc.ru*.

[„Wieś Ilustrowana”, nr 9 z września 1910 r.]

Ś. p. dr Józef Mniszek-Tchórznicki.

Zmarły w Warszawie dnia 30 lipca r. b. dr Józef Mniszek-Tchórznicki, pochowany został w grobach rodzinnych w Zembrowie, powiat sokołowski, gub. siedlecka.

Kochał wieś i w niej spoczął.

Kochał zagon rodzinny i ten przytulił go na sen ostatni, sen nigdy nie prześniony.

Od dworca kolejowego w Sokołowie zwłoki ś. p. d-ra Józefa Tchórznickiego wiezione na wozie wiejskim, umajonym zielenią, od sprychów kół umajonych świerczyną, do baldachimu z wieńców dębowych. Wóz pachnący żywicą i wonią ziół. W tej świeżej zieleni tonęła trumna, a okrywały ją znowu wieńce przywiezione z Warszawy.

I tak, krokiem od Sokołowa, mając za sobą szereg ekwipaży pełnych najbliższych sobie osób, wieziono zwłoki ukochanego syna wsi, marzyciela, idealisty, brata ludu wiejskiego, na wieczny spoczynek – do swoich.



Dr Józef Mniszek-Tchórznicki³.

³ „Wieś Ilustrowana”, nr 9 z września 1910 r.

Na granicy majątku Sabnie, własności brata zmarłego, gdzie ś. p. dr Tchórznicki urodził się i wychował, na drodze wysadzonej wierzbami, wśród pól kwitnących oczekiwała reszta rodziny, znajomych i tłum wieśniaczy, barwny, ale żałobny tłum, spod strzech słomianych wyległy na spotkanie tego, który ich miłował. Oczekiwali księża i tęcza chorągwi.

Gdy z daleka ujrzano lejcowe konie, czwórki karoszków sabniewskich, ciągnących wóz żałobny, serca wszystkich zabiły żywiej. I oto wjechał ś. p. dr Józef Tchórznicki na łany rodzinne, na drogę dobrze znajomą i zawsze umiłowaną. Wjechał inaczej niż zwykle. Nie objął oczyma ukochanych pól, nie uśmiechnął się do nich, jechał cichy, spokojny, by wśród nich pozostać na wieki.

Wracał do ojczyściej gleby. Odbywszy trudną wędrówkę życiową, tu przyszedł złożyć głowę. Szedł z ufnością syna na łono matki. I przyjęto go tu sercem. Smutne, szczere, zbolące ramiona wyciągnęły się do zielonego wozu, ugięły się kolana, tu i tam zaszeptał płacz wśród tłumu, bo starzy gospodarze z Sabni pamiętali „Panicza Józia” potem lekarza ze Sterdyni, który ich leczył i o nich dbał.

Wóz stanął. Księża zaintonowali pieśń, poczem wolno ruszono dalej. Ale już teraz od granicy, wóz zakończył olbrzymi wieniec ze zbóż i kwiatów polnych, z białymi szarfami, co niby objęciem potężnych ramion otaczały trumnę, na nich widniał napis ze świerkowych gałązek: „Sabniowskie niwy – synowi swemu”. Oblegały trumnę zażawione oczy, poprzedzał ją monotony śpiew i szeregi świateł. A nad nią gorejące słońce, lazur obłoków i wielka przestrzeń powietrza, nieskrępowana, czysta, przezrocza. A nad nią świergot ptasząt i delikatny wiew wiatru, który muskał trumnę, jakby niósł jej ostatnie pocałowanie drogiej ziemi.

Minęli młyn, most i rzeczkę Cetynię, poczem cały orszak żałobny zatrzymał się przed starym dworkiem nad stawem, gdzie ś. p. Józef Tchórznicki pierwszy raz ujrzał światło dzienne. Tu proboszcz miejscowy, ks. Rostkowski przemówił do zebranych i zaintonował pieśń żałobną. Zatrzymano się jeszcze przed właściwym dworem sabniowskim, zamieszkałym przez braterstwo zmarłego, pp. Michałostwo Mniszek-Tchórznickich. Przed gankiem była mowa dłuższa, zwrócona głównie do rodziny i licznych mas włościańskich, zalegających dziedziniec dworski. Prowadzono zwłoki środkiem wsi sabniowskiej, przystrojonej w zieleń przez dziewczęta wiejskie. Gdy cały kondukt pogrzebowy znalazł się pośród barwnych mozaikowych pól, wieczór z wolna zapadał. Słońce rzuciło na trumnę jaskrawe snopy płomieni. Wóz oblała świetlistość zachodu sierpniowego. Z zagonów sączyły się miodowe wonie koniczyń i łubinów, duszne zapachy traw. Orszak posuwał się wolno, poważnie. Było dziwnie swojsko, dziwnie wzruszająco.

Blisko Zembrowa dzwony kościelne witały zwłoki. Rozbrzmiały tony minorowe spiżu, pieśń dzwonów szła potężna a melodyjna, wołając na wieczny spoczynek miłośnika ludu i wsi ś. p. d-ra Józefa Tchórznickiego.

Piękny był widok, gdy kondukt przebywał groblę, wśród łąk w Zembrowie. Słońce purpurą sypnęło na trumnę, z dwóch zaś stron grobli rozlały się szeroko biało-siwe opary, morzem zda się zapełniły łąki, że nic widać nie było nad ten wóz zielony, o tłumie ludu, okraszony ukośniami pasmami słońca, pośród nieprzejrzanych pian oparów, co pływały cicho jak spokojne fale wód tajemniczych, jak oddech wyszły z gleby i ścięty w białe runa. Nad tym iście wiejskim obrazem biegł hejnał dzwonów. Prowadziły zmarłego blaski zachodu i mgły oparów.

Prowadziły w grób.

Od połowy grobli trumnę wzięli na ramiona krewni i znajomi zmarłego. Wnieśli do nawy kościelnej, gdzie wśród jarzących świateł i mnóstwa zieleni, zwłoki złożono na katafalku.

Na drugi dzień 3 sierpnia, odbyło się uroczyste nabożeństwo. Podczas mowy pogrzebowej wypowiedzianej przez ks. K. Kozere, wikariusza parafii Jabłonna, zwracał uwagę słuchaczy i rozrzewniał świergot jaskółek. Dwie ptaszy wfrunęły do kościoła przez okna i trzepotały skrzydłami pod sklepieniem, i kwiliły, kwiliły, jakby i one w imieniu ptasich gmin żegnały zmarłego, który i ptaszęta wiejskie miłował.

Po nabożeństwie trumnę na barkach rodziny i przyjaciół zaniesiono do grobowca rodzinnego, nad którym przemówił dr A. Jarosiński ze Sterdyni. Mowa ta wypowiedziana była stylem pięknym, pełna treści i serdecznego uczucia. Doktor Jarosiński podkreślił najistotniejsze cechy zmarłego, to jest umiłowanie ludu polskiego i polskiej wsi.

Rodzina żegnała trumnę, sypiąc na nią szczypty ziemi sabniewskiej, poczem okryty wieńcami, otoczony powszechnym żalem i łzami ś. p. dr Tchórznicki spoczął w grobie, skąd się już nie wraca.

Powtórzę tu słowa d-ra Jarosińskiego, kończące mowę: „Śpij i śnij! Na glebie ojczystej, wśród chat któreś kochał, wśród niw i gajów zielonych. Nad grobem twym skowronek śpiewać będzie i wiatr polny przyniesie ci szmery całej przyrody. Śpij i śnij!”.

H. M.



Pisarka Helena Mniszkówna, na ponad rok przed śmiercią swego stryja dr. Józefa Mniszek-Tchórznickiego.

Źródło: *Unidentified photographer, Public domain, via Wikimedia Commons.*

[„Przegląd Łomżyński”, nr 1 z 3 stycznia 1932 r.]

Z Pęczratki gm. Szumowo.

W dniu 26.XII r. b. Koło Młodzieży Wiejskiej w Pęczratce urządziło przedstawienie amatorskie, na którym zostały odegrane dwie komedie „Noc w Belwederze” i „Kawalerskie mieszkanie”.

Pomimo rzucanych klątw przez księdza miejscowej parafii na Koło i tych, którzy pójdą na przedstawienie, sala była przepełniona widzami rozumiejącymi postęp młodej wsi polskiej, tak iż nie mogli się wszyscy pomieścić i sztuczki były grane po raz drugi dla nowych widzów.

Otrzymany dochód z powyższej imprezy wyniósł 125 złotych. Jak na dzisiejsze czasy pokaźna sumka. Po skończonym przedstawieniu pan Jan Kurant wygłosił okolicznościowe przedstawienie na temat – dlaczego młoda wieś polska powinna się gromadzić w Związku Kół Mł. Wiejskiej, dziękując jednocześnie gościom za poparcie sprawy kulturalno-oświatowej.

Po wysłuchaniu powyższego goście udali się na zabawę taneczną, która odbyła się u pana Jana Wardaszki bardzo ładnie i wesoło.

Niech pracują, daj im Boże szczęście!

[„Przegląd Łomżyński”, nr 2 z 10 stycznia 1932 r.]

STRASZNY MORD

We wsi Truszki-Pikule gm. Śniadowo, Andrzej Duchnowski dopuścił się strasznego mordu na swym rodzeństwie.

Chcąc pozbyć się „ciężaru” na gospodarstwie w postaci rodzeństwa i gospodarstwo zagarnąć dla siebie, pod nieobecność ojca w domu, zamordował uderzeniami obucha siekiery w głowy dwie siostry i brata: Marianną lat 21, Adelę lat 17 i Stanisława lat 8.

Zbój położył zamordowane ofiary na łóżku stojącym w kuchni i łóżko to podpalił.

Z powodu niewielkiej ilości słomy i przykrycia łóżka z ofiarami kożuchem, pożar nie wybuchł, a ogień popalał nieco ubrania ofiar i osmalił częściowo zwłoki.

Morderca przyznał się do zbrodni.

[„Przegląd Łomżyński”, nr 18 z 1 maja 1932 r.]

DOŻYWOTNIE WIĘZIENIE ZA WYMORDOWANIE RODZEŃSTWA

Dnia 27 ub. m. w Sądzie Okręgowym w Łomży pod przewodnictwem sędziego p. Karola Kaja, przy udziale sędziów pp. W. Trepki i St. Tobolczyka odbyła się rozprawa karna przeciw 23-letniemu Andrzejowi Duchnowskiemu ze wsi Truszki-Pikule, gm. Śniadowo, oskarżonemu o wymordowanie siekierą swego rodzeństwa: 21-letniej Marianny, 17 l. Adeli i 8 l. brata Stanisława oraz o usiłowanie spalenia chaty, celem zatarcia śladów zbrodni.

Oskarżał prokurator p. M. Madej, protokołował aplikant sąd. p. Wacław Subda. Oskarżony bronił się sam. Oskarżony, który w śledztwie policyjnym i przed sędzią śledczym przyznał się do winy, na rozprawie sądowej zaprzeczył, by on był sprawcą ohydnej zbrodni, rzucając podejrzenia to na swych rodziców, to na sąsiada A. Rutkowskiego. Zaznaczyć należy, że zachowanie się Duchnowskiego na rozprawie sądowej było cyniczne i był on już karany 2-miesięcznym więzieniem za pobicie swego ojca.

Po przesłuchaniu 28 świadków Sąd wydał wyrok skazujący Duchnowskiego na dożywotnie więzienie.